

665

W Teatrze Dramatycznym w Gdyni utrzymywał się jeszcze zapach farby — pozostałość po wakacyjnym malowaniu i porządkach, gdy na widowni usadowili się pierwsi w nowym sezonie goście. Średnia wieku publiczności nie przekraczała tym razem lat 10, sala wypełniła się do ostatniego miejsca. Teatr bowiem otworzył kolejny rok działalności pozycją adresowaną do najmłodszych. Realizacja ta, zaprezentowana po raz pierwszy przed dwoma miesiącami, na zakończenie sezonu poprzedniego nosi tytuł „Teatr Pana Dropsa” i została przygotowana pod kierunkiem Ireny Byrskiej (reżyseria i scenografia). Jest inscenizacją uroczej wierszowanej opowieści Jana Brzechwy o Tomku Dropsie i jego zwierzętach, którą wzbogaciły umiejętnie ukomponowane inne historyjki pióra tego autora. Grono bohaterów „Pana Dropsa i jego trupy” powiększyło się w ten sposób o parę postaci dobrze nam znanych z dziecięcej lektury: panie — Madalińską i Gadalińską z miasta Młyńska, Samochwałę, Skarżypięte...

Nie byłam na przedstawieniu premierowym, w którym mówiono i pisano raczej niepochlebnie. Zobaczyłam „Teatr Pana Dropsa” teraz i mogłabym dorzucić swoje „trzy grosze” do wcześniejszych uwag krytycznych. Zanalizować spektakl wnikliwie, rozkładając go na czynniki pierwsze. Pytanie tylko: po co? Siedziałam wśród maluchów, obserwując ich reakcje, a śledząc je doszłam do wniosku, że znaczą one więcej od recenzentkich ocen i wywodów.

Myślę, że gdyński „Teatr Pana Dropsa” wypada zaliczyć do widowisk udanych, jakkolwiek daleko mu do ideału, a także do

rozmachu i atrakcyjności „Wielkiej Tajemnicy” — poprzedniej rzeczy dla najmłodszych w repertuarze tej sceny. Jest to inscenizacja dosyć skromna, a przecież poprowadzona bardzo konsekwentnie, przemyślana w najdrobniejszych szeregach. Urzeka ona przede wszystkim znajomością możliwości percepcyjnych dziecka, troską o takie rozłożenie akcentów, aby nie dopuścić do osłabienia uwagi, znużenia, do przzerwania kontaktu z odbiorcą. Ten kontakt nawiązuje się z małym widzem w sposób niemal klasyczny: za pośrednictwem narratora (Stefan Iżyłowski) — pośrednika między

Brzechwa jakiego znamy

sceną a widownią, komentatora, który pyta, pobudza ciekawość, odwołuje się do zbiorowej opinii. Inny chwyt — to element niespodzianki, zaskoczenia, wykorzystany tu również znakomicie — wystarczy wspomnieć „lot” kukietek nad głowami widzów, albo słodki, cukierkowy „przerwywnik”. To wszystko oczywiście procentuje. W teatrze dla dorosłych, na prawdziwej widowni, w prawdziwych fotelach siedzą dzieciaki z wypiekami na twarzy, pochłonięte akcją, ulegające iluzji, wpatrzony w scenę. Dla nich przygotował też teatr ciekawe i pozytywne wydawnictwo — niezwykły teatralny program, będący rodzajem słownika wiedzy o sztuce teatru w ogóle — takie *vademe cum magistro* teatromana, Tekst, który na pewno z zainteresowa-

nem przeczytają także dorośli, napisał Krzysztof Wójcicki, ilustracje wykonał nasz redakcyjny kolega Zbigniew Jujka. Program ten niestety, jest jeszcze w druku.

Niestrudzona Irena Byrska (od kilkunastu lat na emeryturze, a przecież stale czynnie współpracująca z wieloma teatrami) przygotowała „Teatr Pana Dropsa” tradycyjnie. Jej scenografia — prosta i pastelowa przypomina ilustracje Jana Marcina Szancera z tomu „Brzechwa dzieciom”, na której to książce wychowało się niejedno pokolenie. Brzechwa proponowana przez Byrską jest taki jakiego znamy i lubimy — stąd uśmiech, a eza sem wzruszenie na twarzach rodziców. Maluchy zaś „kupują” przedstawienie bez zastrzeżeń, chociaż dorośli zastanawiają się być może nad sensem i celowością rozbudowania niektórych scen czy epizodów, np. popisów cyrkowych, akrobatycznych. Te fragmenty dynamizują po prostu akcję, dodają widowiskowości, spełniają rolę „wypełniaczy”, bo przecież historyjka Tomka Dropsa i jego trupy to materiał raczej ubogi, fabułka nie wystarczająca na potrzeby pełnego spektaklu. Ubarwiono ją zatem, każąc aktorom tańczyć (choreograf Marceli Żędzianowski) robić szpagaty, mostki i inne skomplikowane figury (Violetta Zalewska i Barbara Wawrowska zdają się być w swoim żywiole). Okraszono muzyką Mirosława Wizińskiego i Jerzego Szczyrbę, a także piosenką. Niestety, pieśń sławiąca urodę ziemi kieleckiej zabrzmiiała w takim kontekście nieco sztucznie, jak z kalkiem innej sztuki — na przykład — monumentalnego widowiska na festiwalu w Kołobrzegu... Tak niestety, bywa, gdy dorośli, przejęci rolą, przypominają sobie o dydaktyce i wychowaniu. **A. JESIĄK**